

Jedyna szansa

KIEDY DYKUSJA NAD ZABUDOWĄ PLACU DEFILAD WCHODZIŁA W STADIUM KULMINACYJNE, TYGODNIK „STOLICA” ZAMIEŚCIŁ ARTYKUŁ NACZELNEGO ARCHITEKTA WARSZAWY PT. „MILION URBANISTÓW”. ARTYKUŁ BYŁ RETROSPEKTYWNYM SPOJRZENIEM NA ROZWÓJ MIASTA OD ROKU 1945, CHARAKTERYZOWAŁ JEGO AKTUALNY STAN, A PONADTO PODKREŚLAŁ ROLĘ PRZECIĘTNEGO MIESZKAŃCA W KSZTAŁTOWANIU OBŁICZA ARCHITEKTONICZNO-URBANISTYCZNEGO STOLICY.

Martwię się, że w Poznaniu nie ma 400 tys. urbanistów, że sprawy nowych osiedli, arterii, gmachów nie rozpalają umysłów, że „przechodzą bokiem”, załatwiają się w pracowniach projektantów. Dyskusja na temat centrum Poznania, zainicjowana niedawno przez „Nowy Świat” artykułem Józefa Modrzejewskiego — ma dotychczas nie najżywszy przebieg.

Myszę, że powinni nad tym boleć także architekci i urbanisci. Chwilami podejrzewam ich, że mało przywiązują wagi do głosu opinii społecznej. Nie inicjują dyskusji, jakby nie pragnęli, aby ich praca była bardziej znana. Szkoda*).

To na marginesie. A chodzi mi głównie o to, by wtrącić swoje trzy grosze w związku z projektem wstępnym zabudowy Czerwonej Armii i sprawą centrum Poznania.

Problem jest złożony. Trzeba bowiem — rozstrzygnąć — po pierwsze, jaką rolę w organizmie miejskim ma pełnić część Poznania w obrębie ulic: Czerwonej Armii, alei Marcinkowskiego, placu Wolności, 27 Grudnia i Lampego, po drugie — jak ma ona być zabudowana, jak ma wyglądać architektonicznie. Otóż — o ile drugi aspekt problemu jest przede wszystkim sprawą kompetencji specjalistów — o tyle zagadnienie, czym dla miasta powinien być ten odcinek śródmieścia — może i powinien wzbudzić powszechne zainteresowanie, że się tak wyrażę — użytkowników — miasta. Chodzi o to — czy ma to być osiedle mieszkaniowe z dodatkami lokali użytkowych, czy wyłącznie centrum handlowo-usługowe. Pytanie istotne i odpowiedź na nie, udokumentowana badaniami demografii, socjologii, ekonomisty, urbanisty i techników wszelkiego autoramentu musi poprzedzać wszelkie poczynania projektanta.

Dyskusja warszawska rozgorzała głównie dookoła stylu zabudowy, gdy tymczasem tamtejsze władze miejskie nie zde-

* W chwili kierowania do druku tego artykułu otrzymaliśmy wiadomość, iż dyskusję taką zorganizuje Wydział Architektury RM m. Poznania. (red.)

„ILE CENTRÓW POZNANIA?”

cydowały ostatecznie, jaką funkcję w życiu miasta przeznaczą dyskutowanym terenom.

Otóż w Poznaniu sytuacja jest trochę podobna. Projekt inż. Liśniewicza — jak to wynika z artykułu J. Modrzejewskiego — jest koncepcją kompromisową, uwzględnia zarówno lokale handlowe jak i mieszkania. Łączy to się z zagad-

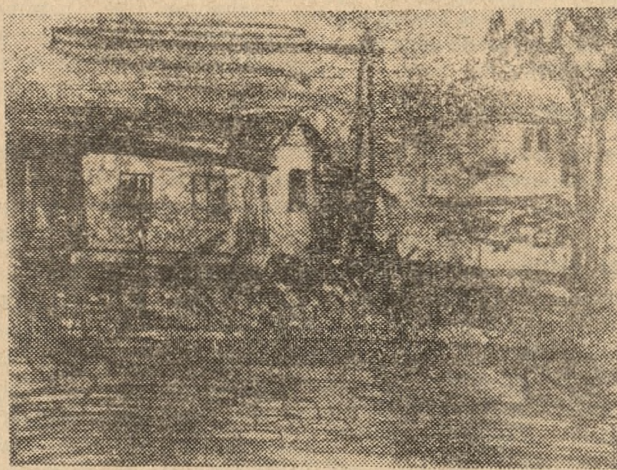
raczej kłopoty z ich nadmiarem — miasta także posiadają swoje handlowe, najbardziej ożywione centra.

Poznań przekroczył liczbę 400 tys. mieszkańców. To jest już miasto duże. Jego dalszy szybki rozwój jest sprawą nie wywołującą wątpliwości. A więc, to co w nim robimy dziś, musimy robić z myślą o sytuacji za 10, 15 czy 20 lat. Chłopcu, który szybko rośnie zawsze kupuje się ubranie trochę na wyrost, zwłaszcza, gdy kieszeń nie pozwala na zbyt częste kupowanie.

Poznań jest zresztą nie tylko dużym miastem wojewódzkim; jest także ważnym ośrodkiem gospodarczym, naukowym, kulturalnym oddziaływającym na ziemie zachodnie i północno-zachodnie. Musi więc służyć nie tylko swoim mieszkańcom. Jego funkcja musi wykraczać poza rolę siedziby władz wojewódzkich.

I także dlatego jest potrzebne główne centrum. Powinno zresztą ono skupiać zarówno placówki handlowo-usługowe,

U NASZYCH PLASTYKÓW



Jerzy Drygas — „Pejsaż z Nesebr” (Bułgaria) monotypia (1958).

Fot. — CAF

nieniem, czy jedno centrum handlowe — czy dla większej wygody człowieka — kilka.

Sądę, że problemu nie należy stawiać alternatywnie. Potrzebne bowiem jest moim zdaniem — zarówno centrum główne, jak i kilka dzielnicowych. Racji dzielnicowych zresztą nikt nie kwestionuje. Zastrzeżenie budzi tylko myśl stworzenia przy Czerwonej Armii i w jej okolicy wyłącznie ośrodka handlowo-usługowego, co automatycznie narzucałoby styl rozwiązań architektonicznych — zabudowa wysoka, na wskroś nowoczesna. Przy tej okazji warto zaznaczyć, że P. D. T. — projektu prof. Leykama mógłby stanowić dogodny punkt wyjściowy dla rozwiązań „odważnych”.

Jednym z argumentów przeciw tej koncepcji wysuniętym przez p. B. Grabisza — jest zagadnienie handlu. „Po co urządzać „wycieczki po zakupy do jednego centrum” i tam zaopatrywać się w artykuły, które można mieć w domach handlowych własnej dzielnicy. Unika się wtedy kłopotów komunikacyjnych. Zresztą handel i dystrybucja będą pracować coraz lepiej, towarów będzie coraz więcej, nie ma więc potrzeby gromadzenia ich niejako na pokaz w miejscu najbardziej reprezentacyjnym.”

Otóż wydaje mi się wielkim nieporozumieniem uzależnianie koncepcji urbanistycznych od sprawności, czy nieudolności naszego handlu. To jest nonsens. Zarówno jak i to, żeby nie budować domów z windami, bo te, które mamy często się psują. W krajach, w których nie ma zmartwienia o brak towarów na rynku, a są

jak i instytucje, urzędy o znaczeniu szerszym niż lokalne. Do tej pory wiele z nich zajmuje mieszkania. Nie wiem, czy przeznaczanie dyskutowanego terenu pod zabudowę niemieszkalną, skupienie rozrzuconych po całym mieście instytucji, które odwiedza mieszkaniowiec Poznania, województwa i terenów dalszych — pozwoliłoby wygospodarować tyle mieszkań, ile kosztowałoby bolesny zabieg wyburzenia i rezygnacji z nowych izb, prze-widywanych tam projektem inż. Liśniewicza.

Jedno jest pewne. Jeśli dziś zdecydujemy się na koncepcję połowiczną — trochę lokali użytkowych, trochę mieszkań — Poznań straciłby jedyną szansę stworzenia sobie wielkomiej-skiego, nowoczesnego centrum, które jest niezbędnym elementem wielkich miast.

Powolywanie się na Międzynarodowe Targi Poznańskie, odbywające się tutaj co roku, też chyba nie jest bez znaczenia.

Co do drugiego aspektu problemu — należącego do wyłącznej kompetencji architektów — to wydaje się, że jeden projekt nawet znajdujący uznanie nie może przesądzać o ostatecznym rozwiązaniu. Projektów powinno być więcej, by można wybrać najlepszy. Dlatego też, jeśli konkurs, szczególnie forma rywalizacji talentów i umiejętności, jest stosowany na ogół z dużym powodzeniem w wielu miastach całego świata — to śródmieście Poznania na pewno na niego zasługuje. Komuś, kto pamię-

(Dokończenie na str. 3)

ZANIM KOBIETĘ DO KWIATU PRZYRÓWNANO

Biada poecie, który dzisiaj odważyłby się przyrównać kobietę do kwiatu. Cóż za niepospolity brak wyobraźni — rzekliby jedni. Grafomania — powiedzieliby inni, lubiący dosadne określenia, a nieszczęsna bogdanka miast wyrazów podzięką za awansowanie jej do roli Muzy — prawdopodobnie potraktowałaby ów epitet, jako rażący nietakt. Tak, tylko pierwszy człowiek, który przyrównał kobietę do kwiatu — stwierdził Heine — był genialnym poetą. Następny był już... osiem.

Nie od razu jednak w poezji polskiej przyrównywano kobietę do kwiatu. Pierwszy portret kobiety w poezji polskiej skromnie oceniając, dziś jedynie zajadł antyfeministom może dać satysfakcję — i wiercie cię niżej podpisanemu — nie nadaje się raczej do recytowania na spotkaniach towarzyskich z udziałem przedstawicieli płci nadobnej. Portret ten pochodzi z średniowiecznego zabytku noszącego tytuł „Rozmowa Mistrza Polikarpa ze Śmiercią” zaliczanego do poezji umoralniającej. Utwór ten zachował się w rękopisie pochodzącym z XV wieku. „Śmierć”, którą pragnął ujrzeć „mędrzec wielki” Polikarp objawia się mu w straszliwej, grozą przejmującej postaci kobiecej:

„Uzrał człowieka nagłego, Przyrodzenia niewieściego, Obraza wielmi skradanego, Lokusza przepasanego”.

Nie dziwnego, że Mistrz na widok tej szkarady, przeraził się i upadł na ziemię „eże stęknął”. Kogoż bowiem nie przeraziłby widok samej śmierci zwłaszcza, że była:

„Chuda, blada, żółte lice
Leści się, jako miednica;
Upadł ci jej kawał nosa,
Z oczu płynie krwawa rosa;
Przewięzła głowę chustą,
Jak samojedź krzywoustą;
Nie było warg u jej gęby,
Poziewając, skrzyta zęby;
Mieci oczy zawracając,
Groźną kosę w rękę mając;
Goła głowa, przykra mowa,
Z wszech stron skarada postawa
Wypięła żebra i kości”.

Tak! Taka kobieta nawet na cnotliwym Mistrzu Polikarpie musiała zrobić wielkie wrażenie! Skoro jednak po tylu optyczno — słuchowo — węchowych wrażeniach Mistrz Polikarp ochłonął, wiedzie ze

śmiercią dialog wielce pouczający. Gdyby „rozmowę Mistrza Polikarpa” relacjonowała Polska Agencja Prasowa — przeczytalibyśmy takie oto gładkie zdania: „W udzielnym naszym specjalnemu wysłannikowi Polikarpowi wywiadzie — p. Śmierć stwierdziła kategorycznie, że żadna łapówka, nawet sugerowany niedwuznacznie przez przedstawiciela naszej Agencji „smaczny kołacz” — nie jest jej w stanie przekupić, lub ubłagać. Nie dbam — rzekła Śmierć — o „rodzynki i migdały”, „eksamity i postawce”. Następnie przed struchlałym Polikarpem — Śmierć rozłożyła obraz swej wszechwładzy: na wschód i południe, od północy do zachodu — ona „mori” całe ludzkie plemię, bez względu na wiek, płeć, stan cywilny, stan majątkowy, zawód wyuczony, zawód wykonywany oraz bez względu na pozostałe rubryki ankiet personalnych. — Po cóż w takim razie istnieją lekarze? — brzmiało następne pytanie Mistrza Polikarpa. Ach, lekarze — odrzekła Śmierć — to zwykli szarlatani.

Znużona licznymi pytaniami, nieco naiwnie formułowanymi przez Mistrza Polikarpa — Śmierć jeszcze raz autorytatywnie stwierdziła, że żadne kruczkę nie pomogą, by uniknąć spotkania z jej osobą. Niestety, na tym utwór się urywa. Warto zwrócić uwagę, że nie od razu wyobrażano sobie śmierć w postaci szkieletu. Na początku i śmierć wyobrażania twórców obdarzyła ciałem. Dowodem jest nie tylko przytoczony we fragmentach utwór, lecz także liczne średniowieczne malowidła tzw. „Danse Macabre” (Taniec śmierci), przedstawiający upersonifikowaną śmierć w otoczeniu ludzi różnych stanów i zawodów.

Taki był pierwszy obraz kobiety w poezji polskiej. Niejedną chyba dziewczyna po lekturze „Rozmowy Mistrza ze Śmiercią” przebaczy swemu adoratorowi nieszczęsne przyrównanie do kwiatu w wierszu wyrażającym jego uczucie przesłanym jej ukradkiem podczas lekcji. Gdyby zdobył się na koncept anonimowego autora „Rozmowy” — byłoby chyba gorzej.

A. KRYSIŃSKI



milczące
którym żaden megafon
nie psuje rachunku sumienia

na nich kochankowie
odjeżdżający do tamtąd
do nikąd może
albo tylko do swoich przeznaczeń

szybą powietrza przesącza się
rozmażany dzień powszedni
z pościeli mgieł wstają domy
ulic rozwija się dywan
gasną światła
para dym
kwitnąca lokomotywa

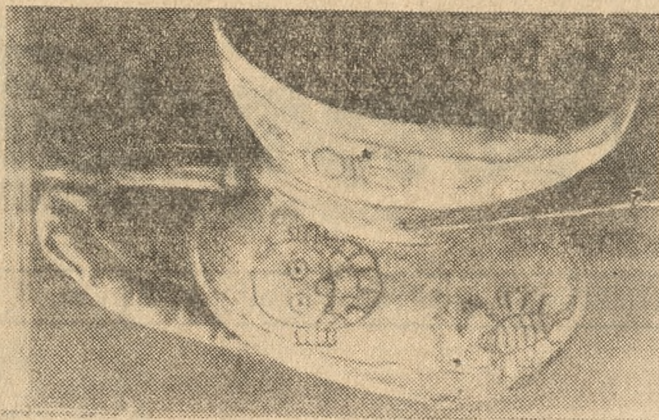
powoli
podnosi się
szlaban zgiełku

tylko perony stoją milczące
oniemiałe nadmiarem wzruszeń
opuszczone w stońcu eurydyki
którym uciekli orfeusze

ALEKSANDER WOJCIECHOWSKI

Bębenek dwoisty, sporządzony z dwu czaszek ludzkich. (Damar — Tybet).

Fot. (2) K. Przychodźki



PYTANIE:

Co to jest IDIOFON?

ODPOWIEDŹ:

Instrument o dźwięku masy własnej, np. dzwon. Bęben zaliczamy do kategorii membranofonów (dźwięk błony), skrzypce i tym podobne instrumenty należą do rzędu chordofonów (dźwięk struny). Klarinet to aerofon (dźwięk w wyniku drgania powietrza) i wreszcie organy Hammonda są już instrumentem z naszej epoki satelity i radaru — tutaj o dźwięku decydują działania elektroakustyczne.

Znajdujemy się w Muzeum Instrumentów Muzycznych, mieszczącym się w staromiejskiej kamieniczce vis à vis po znanego Ratusza.

— Muzeum nasze — objaśnia mgr Kamiński pracownik naukowy tej instytucji — powstało w 1945 roku. Zbiory, których liczebność określa się na ok. 600 eksponatów, pochodzą częściowo z relikwiarów podworskich, bądź z prywatnych kolekcji doc. Zdzisława Szulca, jednego z założycieli Muzeum i kierownika tej instytucji, inne wreszcie eksponaty zostały sędowane nam przez muzea.

EGZOTYCZNE DARY

Ale to jeszcze nie wszystko. Ciekawym przyczynkiem do rozwoju tej placówki są dary. A więc pokazano mi na II piętrze zestaw ludowych instrumentów koreańskich, przywiezionych do Polski przez Zespół Pieśni i Tańca Wojska Polskiego, dalej — instrumenty muzyczne wietnamskie, dar ministra kultury Wietnamskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, przekazane kierownictwu Muzeum w Poznaniu przez Arkadego Fiedlera, który jak wiadomo przebywał kilka miesięcy w Wietnamie, dalej — rico-rico instrument brazylijski przypominający naszą kuchenną tarkę. Ofiarodawcą był p. Claudio Santoro — dyrygent brazylijski, goszczący na występach w Polsce, m. in. również i w Poznaniu. Premier Cyrankiewicz przywiózł z Mongolii ma-to-czin, ciekawy instrument smyczkowy pochodzenia arabskiego. Obecnie przygotowuje się gablotkę dla kolekcji ludowych instrumentów muzycznych. Ten piękny dar jest wynikiem wizyty pewnego dziennikarza z Bukaresztu. — Redaktorowi bardzo podobało się nasze Muzeum — mówi mgr Kamiński. Z Rumunii otrzymamy także ko-bzy — ciagnie. W tym miejscu trzeba wyjaśnić pewne za-sadnicze nieporozumienie, ja-kie powstaje w związku z po-tocznym określeniem ko-bza. Otóż instrument ten jest stru-nowy i bardzo podobny do lu-tni. A jednak utożsamia się go z dudami, w które zaopatrzona była np. orkiestra szko-cka goszcząca swego czasu w Polsce. Górale nasi grają na dudach a nie na kobzach. Ta pomyłka wzięła się może i stąd, że w swoim czasie lud-wiejski nazywał dudy — ko-zą. W gablotce na drugim piętrze w dziale instrumentów ludo-wych może pan zobaczyć au-tentyczne dudy wykonane z ko-

zlej skóry, od ich główki rozchodzą się stylizowane kozie różki...

RODOWÓD SKRZYPEC

Mgr. Kamińskiego i doc. Szulca najbardziej pasjonuje praca badawcza, dotycząca powstania i rozwoju skrzypiec. O-tóż zdaniem mego rozmówcy, Polska, a ściślej polscy lutnicy mają w tym względzie największy udział. W połowie XVI wieku w kraju naszym skrzypce produkuje się już ma-sowo w dobrze zorganizowa-nych warsztatach lutniczych. Stare akta miejskie w Pozna-niu wspominają o Janie Skrzy-pku. Nomen omen. Dwa trak-taty teoretyczne z XVII wieku: Michała Praetoriusa i Martina Agricoli wskazują na Polskę, jako na kraj, gdzie skrzypce powstały najwcześ-niej. Z wczesnym lutnictwem polskim wiąże się takie na-zwiska, jak Marcin Groblich — senior (ok. 1600 r.), mieszkający w Krakowie, czy do-równujący Groblichowi Balta-zar Dankwart w Wilnie. Słyn-ne Stradivariusy pochodzą z okresu o 100 lat późniejszego. Według obliczeń Szulca i Ka-mińskiego skrzypce znane już były w Polsce w XV wieku.

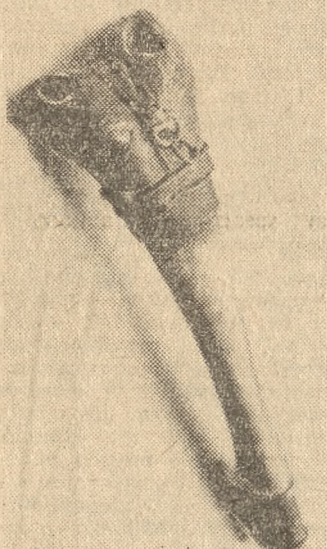
Przy okazji mgr Kamiński wspomina o projekcie wyda-nia w Polskim Wydawnictwie Muzycznym w Krakowie ency-klopedii muzycznej. Z niewia-domych przyczyn realizacja tego zamierzenia została za-hamowana. Na uwagę zasługuje również Słownik Lutników Polskich opracowany przez doc. Szulca.

Czym różni się klawesyn od fortepianu? W klawesynie dźwięk powstaje przez szarpa-

nie struny skórzanym piór-kiem, oczywiście w wyniku naciśnięcia klawisza — zaś w fortepianie przez uderzenie pałeczki o strunę. Ciekawych rzeczy można się tu dowie-dzieć.

HARMONIKA W ANGLII ZAKAZANA

Zwiedzamy Muzeum. Bębny napoleońskie, angielska har-monika szkolna z XVIII wieku, wydająca dźwięk, jakby ktoś uderzał w kieliszek od wi-na. Grano na niej w ten spo-sób, że pocierano wilgotnym palcem wirujące, szklane kla-wisze. Brzmi to bardzo nie-przyjemnie. Podobno ta mu-zyka działała destrukcyjnie na psychikę słuchaczy. W Anglii miano wydać zakaz grania na tym instrumentie. Cóż dalej? Organy, duże, małe, a więc pokojowe, fisharmonie wszel-



Trąbka obrzędowa z piszczela ludzkiego (Kang-Dung, Tybet).

kłego typu (np. blurko — fis-harmonia) niektóre z nich o czarnych klawiszach. Na ta-kim fle tym pięknie prezen-towały się białe i smukłe ko-biece ręce. Teraz blacha: puzony, trąbki, rogi albo ina-czej waltornie i — drzewo. Pokazano mi flet nosowy, w który dmucha się nosem, uży-wany w swoim czasie jako zabawka. W następnej sali — fortepiany, najrozmaitszej wielkości. Orfinka, instrument austriacki przypominający gi-tarę chociaż właściwie jest for-tepianem, oczywiście z klawia-turą — b. własność księcia Józefa Poniatowskiego. Kilka chwil zatrzymujemy się przy fortepianie buduarowym, któ-rego używały śpiewaczki w podróży. Jest to instrument wraz z lustrem i szufladkami na kosmetyki i szpilki. W in-nej sali skrzypce Groblicza, lu-tnia — własność Matejki, słu-żąca mu jako model w czasie pracy nad obrazem „Joanna d'Arc”. Oto surdynta — cie-niuchne skrzypce, beżowe dla renesansowych nauczy-cieli tańca, skrzypce, które można było wetknąć w kie-szeń szerokiego płaszcza. Wre-szcie sala poświęcona Chopino-wi. Kilka obrazów, maska po-śmiertna i fortepian z Anto-nina z pałacu Antoniego Ra-dziwiłła. Na tym fortepianie grywał twórca Etiudy Rewo-lucyjnej.

W sali instrumentów ludo-wych oglądamy gęśle, fujarki, flety — kolekcja najczęściej zrekonstruowanych, wy-raża-jąc się uczenie, aerofonów, i chordefonów, wśród nich tzw. gruchawka z 1000 lat p.n.e.

Na pożegnanie nieco egzoty-ki. Słynny tam-tam. Mgr Ka-miński wali pałeczką w dia-belnie twarde drzewo, prze-nikliwy dźwięk, hałas sły-chać chyba na ulicy. W dżun-gli tam-tamy dają o sobie znać na odległość do 50 km. Jeszcze trzeba zobaczyć wo-jenny bęben murzyński pokry-ty małpią skórą i tybetański bębenek Damaru zrobiony z dwóch czaszek ludzkich. O-bok niego trąbka Kang-Dung spreparowana z ludzkiego pi-szczela. W Tybecie wierzo-no bowiem, że głos może wyda-wać tylko to, co żyje, a więc instrument powinien być nie-jako przedłużeniem istnienia człowieka.

Sprzątaczką miotełką z piór-odkurza cenne eksponaty. O-bok w sali rozbrzmiewają dźwięki klawesynu...

Czesław MICHNIAK

W TEATRACH



Jedną z ciekawszych premier warszawskich są „Mieszczanie” Maksyma Gorkiego w Teatrze Klasycznym w Warszawie. Przekład Pawła Hertza i Seweryna Pollaka. Inscenizacja i reżyseria — Emil Chaberski. Na zdjęciu: Tadeusz Chmielewski (Bezajemienow) i Eugenia Podborówna (Akulina Iwanowna).

CAF — fot. Matuszewski

Jak Anglicy czytają gazety

Korespondencja API z Londynu

Wiadomo, że przeciętny Anglik jest jednym z najgorliw-szych na świecie czytelników prasy. W autobusach, pocze-kalniach dentystów, w urzędach, parkach i na ulicy, słowem — wszędzie widzi się ludzi zasłoniętych wielkimi płach-tami gazet, zatopionych w lekturze codziennych pism.

Jakie gazety najchętniej czy-tają Anglicy?

Największym powodzeniem cieszy się bezsprzecznie dziennik popołudniowy „Daily Mirror”. Według oficjalnych ob-liczeń czyta go około 15 milio-nów Anglików.

„Daily Mirror” ma 20 stro-nic, z czego 5 zajmują wiado-mości i sprawozdania sporto-we, 5 ogłoszenia, 1 stronę po-wieść obrazkowa w odcinkach i fotografie rozległowanych piękności oraz jedną stronę — programy radiowe, telewizyjne i teatralne. Około 6 stron prze-znaczone jest na wiadomości z kraju i ze świata i półtorej strony na polityczne komenta-rze. Te ostatnie są zawsze bar-dzo krótkie — np. artykuł o kongresie na rzecz rozbrojenia atomowego liczył tylko 20 wierszy. Wiadomo jednak, że te 20 wierszy przeczytało 15 mil-ionów Anglików, czyli prawie jedna czwarta ludności Anglii. To jest bardzo ważne.

Wiadomości sportowe zajmują najwięcej miejsca na łamach „Daily Mirror” i to jest zupełnie zrozumiałe, gdyż ze wszystkich dziedzin życia Anglicy chyba naj-więcej interesują się sportem. Gdy

cudzoziemiec przybywający do Ang-lii zobaczy na lotnisku w Londy-nie afisz z olbrzymim napisem „Kłeska Anglii”, to nie znaczy wcale, że Wielka Brytania prze-stała istnieć, jako państwo, ale że po prostu angielska drużyna krokietowa przegrała w międzyna-rodowym spotkaniu z reprezenta-cją jakiegoś innego kraju. Jeżeli ktoś „postronny” wsiądzie do auto-bustu i ujrzy tam same posępne miny, to wcale nie dlatego, że wszyscy pasażerowie są w żalo-bie, ale dlatego, że piłkarze an-gielscy fatalnie spisali się w ostat-nim meczu. Nic więc dziwnego, że gazety nasze tyle miejsca poświę-cają sprawozdaniom z imprez spor-towych. Po prostu dają one czytel-nikom to, co ich najbardziej inte-resuje.

Bardzo wielu czytelników „Daily Mirror” kupuje tę ga-zetę tylko dla powieści obraz-kowej w odcinkach. Np. ma-szynistki z mojego biura już od wielu lat śledzą przygody bohaterów tych powieści i są-dzą, że znają je na pamięć. Inni znowu pasjonują się wiado-mościami o sensacyjnych morderstwach i samobój-stwach, których w „Daily Mir-ror” jest zawsze pod dostat-kiem. Bardzo wielu czytelnik-ów — zwłaszcza kobiet — in-teresuje się życiem prywatnym rodziny królewskiej — praw-dopodobnie dlatego, że czyta-jąc o gospodarskich kłopotach królowej, czy podróżach jej małżonka, mają złudzenie, iż sami biorą udział w tych wszy-stkich sprawach. Dużą popu-larnością cieszą się także re-portaże na temat małżeństw, rozwodów i nieszczęśliwych miłości słynnych gwiazd fil-mowych.

Inteligentny cudzoziemiec, który bierze do ręki nasz „Dai-ly Mirror”, może więc łatwo doznać uczucia niesmaku i na-brać złego wyobrażenia o po-ziomie umysłowym naszego narodu. Jednakże ogromna część naszego społeczeństwa wyrabia sobie światopogląd nie na podstawie tego, co czy-ta w gazetach, ale mimo to tego. Dla milionów zwykłych lu-dzi w naszym kraju jasne jest, że wyścig zbrojeń atomowych i uzbrajanie Niemiec Zachod-nich oznaczają groźbę wojny, a co za tym idzie — zagładę wysp brytyjskich. Mimo że prasa na ogół milczy na te te-maty, lub podaje niedostatecz-ne informacje — ludzie dosko-nałe zdają sobie sprawę, że trzeba przeciwstawiać się po-lityce wojny.

Diana PURCELL

JÓZEF RATAJCZAK

MATKA



drzew. Staliśmy przed kostnicą szpital-ną. Matka uspokoiła się już nieco, ale wciąż jeszcze powtarzała o winie leka-rzy, o braku troskliwości i przecho-dziła w szloch.

Nie mogła zrozumieć tego dnia.

Przeczuła przecież wszystko, rano wyszła zupełnie bezwiednie naprzeciw listonoszowi, niosącemu krótki, żółty telegram. Zbudził mnie jej spazmatycz-ny, urywany płacz na schodach — krzyk zranionego ptaka.

Wiedziałem nagle wszystko. Wie-działem.

Potem długo patrzyłem na sztywne-go trupa ojca, i aż się zdziwiłem, że

mogłem w przeszłości bać się zmarłych. Leżał cichy, owinięty w prześcieradło ze stężoną, zapadniętą bez zębów twa-rzą. „Cały charakter z niego uszedł!” — określili krótko wujek.

Prawą dłoń miał niemal tak samo skrzywioną jak wczoraj, gdy podawał nam ją na pożegnanie. Uśmiechał się i drapał przy pocałunku krótkim za-rostem.

Zaprosiliśmy krewnych prosto ze szpitala na kolację zadowoleni, że ojciec czuje się lepiej i temperatura trochę spadła. Matka jednak była niespokojna cały wieczór.

Może już wtedy przeczuwała, że sie-dzi na stypie?

Grabarz wyrwał mnie z zamyślenia.

— Tak, więc już ja co trzeba oporząd-zać. Ubranie państwo przyniosła, praw-da? Na razie poleży tutaj. Może być tak trzy, cztery dni. W razie czego znieś do lodówki. Zresztą nie jest zbyt ciepło.

Przestraszyłem się. Uchwyciłem mat-kę pod rękę. Szła wolno, popłakując. Było mi jej strasznie żal. Wiedziałem,

że zacznie teraz chodzić z rozwartymi rękoma i szukać czegoś: pustki w pa-mięci i pustki w powietrzu, że będzie zrywać się o świcie, aby prędko przy-gotować śniadanie dla ojca, którego nie ma. Trudno jest grzebać zmarłych i rzucać im na pożegnanie tylko grude sypkiej ementalnej ziemi. Z trudem wraca się do miejsc, gdzie czuć po nich przeraźliwą próżnię, którą czas zdoła jedynie zabić — ale nigdy zapełnić. Przymknąłem oczy i zobaczyłem wy-raźnie: idzie moja zgarbiona stara mat-ka z roztarganymi na wietrze siwymi jak przymrozek włosami i niesie na swych szczupłych plecach rozwieszono-go bezwolnie trupa. Wiatr sypie jej w oczy liściemi, targa wdowim czarnym welonem, latającym wokół głowy na kształt nietoperza. Siada raz po raz zmęczona i cuci swymi czułymi, zgrzy-białymi dłońmi białego trupa. I znowu idzie: zamyślona, zapominająca o ty-siącach drobniaków, w tamtych dniach zagubiona, zdiwaczała.

Pójdzie jeszcze tak długo.

Tylko czy jej słabe plecy nie ugną się pod tym ciężarem?

CZY RZECZYWIŚCIE MODNA CHOROBA?

Powszechna opinia i rozliczne na ten temat publikacje nadały chorobom serca miano choroby XX wieku. Podobne i równie powszechne są przekonania młodych matek, których dzieci chorują na tzw. wrodzone zwichnięcia stawu biodrowego. Na ten temat rozmawiamy z dr. Romanem Ratomskim, lekarzem Wojewódzkiej Poradni Specjalistycznej (tzw. preluksacyjnej) starszym asystentem Kliniki Ortopedycznej A. M. w Poznaniu. Czy rzeczywiście lüksację można uznać za współczesną chorobę niemowlęcą? Czy ostatnio zwiększa się liczba tego rodzaju wypadków?

Okazuje się, że opinia — chociaż powszechna — nie jest (jak zresztą bardzo często bywa) zgodna ze stanem faktycznym. Schorzenia te bowiem zdarzały się również często także za czasów naszej młodości. Świadcza o tym liczni dorośli pacjenci szpitala, u których — nie leczone w okresie niemowlęctwa — schorzenia stawów prze-

kształciły się w poważne kalectwo, jakiego niekiedy nawet operacyjnie nie da się usunąć.

Problem wygląda zatem nieco inaczej: nowa jest nie choroba, lecz metody jej wykrywania i leczenia.

„Historia tych nowych metod u nas w Polsce — mówi dr Ratomski — sięga 1929 roku. Wtedy to profesor Wiktor Dega, pierwszy w kraju, rozpoczął badania niemowląt mające na celu wykrywanie stanów niedorozwoju stawów biodrowych. Schorzenie to może bowiem występować w postaci dwojakiej: niedorozwoju i zwichnięcia stawu. Częstsze są wypadki pierwsze, które jednak — nie leczone — przekształcają się w zwichnięcie”.

Sprawa rozpoczętych przez prof. Degę badań odżyła na nowo (po okresie wojennych „zahamowań”) w roku 1952. Wtedy to poznańska Klinika Ortopedyczna rozpoczęła masowe badania urodzonych w obu klinikach (przy ul. Polnej i potem — przy ul. Engla) niemowląt. Do sierpnia 1958 roku przebadano około 36 tysięcy niemowląt. Okazało się iż na tę liczbę przypadło 1600 stanów preluksacyjnych (niedorozwoj) i 200 zwichnięć stawu biodrowego. Tych 200 dzieci dzięki przeprowadzonym badaniom, uciekło — jak stwierdza nasz rozmówca — spod noża chirurga. Dzięki wczesnemu rozpoznaniu choroby, przebadane dzieci uniknęły ciężkiego kalectwa lub poważnej operacji, a szpitale — kosztów ok. 2 mln. zł.

Odtąd Poznań — jako jedyny w kraju ośrodek prowadzący tego rodzaju akcję — stał się centrum zainteresowań i oddziaływania na wszystkich pediatrów w kraju. Obok pracy ściśle naukowej, obok wyjątkowej i zabierającej wiele czasu pracy z chorymi — zaczęto prowadzić zakrojoną na szeroką skalę akcję uświadamiającą wśród lekarzy pediatrów, pielęgniarów i położnych. Odbywały się bardzo częste wykłady dla lekarzy, sesje wyjazdowe do miast powiatowych np. do Piły czy Leszna, zorganizowano szkolenie w woj. zielonogórskim. W ub. roku odbyła się w Poznaniu odprawa instruktorów pielęgniarów; wkrótce poznańscy lekarze wyjadą do Olsztyna, aby tam pomóc w organizowaniu poradni preluksacyjnej. Poznań zapoczątkował — nie znane dotąd — leczenie profilaktyczne, polegające na jak najwcześniejszej odpowiedniej pielęgnacji niemowlęcia.

Obecnie obydwie poznańskie kliniki położnicze stosują już — bezpośrednio po urodzeniu dziecka — specjalne badania i niemowlęta, u których rozpoznano dysplazję, skierowuje się od razu do Wojewódzkiej Poradni Specjalistycznej.

Nie wszystkie jednak matki rodzą w klinikach. Nie wszystkie także, niestety, korzystają z opieki lekarskiej w przychodniach dla zdrowego dziecka. Czy same mogą rozpoznać stan dysplazji u dziecka?

„Jeśli się dziecko uważnie obserwuje — mówi dr Ratomski — można zauważyć niezgodność fałd udowych na obu nóżkach. To powinno być dla matki sygnałem do udania się z dzieckiem do lekarza. Mamy jednak — jak to mamy. Niekiedy nawet widząc chorobę nie chcą „męczyć” dziecka i nie stosują się do wskazań lekarza. Metoda leczenia jest prosta: wkłada się dziecku poduszkę między nogi. Nie ma podstaw do obaw, że rozstawione w szerokim rozkroku nogi dziecka skrzywią się i nie wrócą potem do normalnej pozycji. „Oszczędnianie” niemowlęcia w pierwszych miesiącach jego życia powoduje tylko skazanie go później na cięższy znacznie opatrunk gipsowy lub operację. Wczesne leczenie daje szansę pełnego wyzdrowienia dziecka przed ukończeniem pierwszego roku życia, później zaś — jest bardzo ciężko i znacznie trudniej. Warto i o tym wspomnieć, iż leczenie późniejsze — operacyjne, a więc szpitalne — pochłania olbrzymie sumy pieniędzy państwowych, które można by — dzięki świadomości przez lekarzy i rodziców prowadzonej akcji profilaktycznej — zaoszczędzić. I jeszcze ciekawostka: w Korei czy Chinach rozpoznaniu choroby, przebadane dzieci uniknęły ciężkiego kalectwa lub poważnej operacji, a szpitale — kosztów ok. 2 mln. zł.

Niechże więc nasze młode mamy bardziej wierzą lekarzom niż... powszechnym opiniom, które często bywają bez pokrycia. Procent niedorozwoju stawów biodrowych nie zwiększa się bynajmniej, lecz utrzymuje w tym samym stoku: na 1000 noworodków 2 rodzą się ze zwichnięciami, których przyczyny mogą być zarówno wrodzone, jak i mechaniczne (urazy przy porodzie).

Niechże także pamiętają o tym, że pociechy ich korzystają ze szczególnie korzystnych warunków opieki, które — dzięki pionierskiej pracy prof. Degi — stworzono w Poznaniu. Poznań jako pierwsze w kraju miasto posiada własną Poradnię Preluksacyjną, która nie tylko poznańskie „niemowlaki” wyciąga spod noża chirurga.

Rozmawiała:

Wanda CHILA



W południowej Japonii, w prefekturze Miyazaki na wyspie Kiusiu, panuje już niemal lato. Zdjęcie nasze przedstawia pole kaktusów w nadmorskim parku narodowym. Nichina CAF. — Fot.

MATEMATYKA POMAGA MEDYCYNIE

Matematycy wrocławscy żywo współpracują z przedstawicielami innych dziedzin nauki, przekazując szereg uzyskanych wyników naukowych do praktycznego wykorzystania. Pomogli oni np. medycynie: chirurgom, przystępującym do operacji dostarczając specjalnych aparatów, które pozwalają dokładnie ustalić położenie obcego ciała w organizmie pacjenta.

Dzięki metodom, opracowanym wspólnie przez matematyków i hematologów, sądownictwo uniknęło licznych błędów przy ustalaniu faktycznego ojcostwa w spornych sprawach o alimenty, przyczyniając się do ich rozwiązania.

W pediatrii szeroko stosuje się obecnie metodę Nowakowskiego i Perlaka. Dzięki niej w poradniach „D” można śledzić, czy dziecko rozwija się prawidłowo — badając zależność między wzrostem, wagą a wiekiem młodzieży, przy pomocy specjalnych obliczeń matematycznych.

Jest to tylko fragment licznych prac, zgłoszonych przez pracowników naukowych Instytutu Matematycznego PAN we Wrocławiu. Instytut skupia wybitnych polskich matematyków światowej sławy — z prof. Steinhauserem na czele i stanowi obecnie silną, świetnie rozwijającą się placówkę badawczą, która wywiera duży wpływ na inne gałęzie nauki.

MASZYNISTKA ELEKTRONOWA

W amerykańskiej fabryce maszyn zbudowano telepisową drukarkę elektroniczną, która przyjmuje wiadomości automatacznie i sporządza drukowany maszynopis z szybkością do 3000 wyrazów na minutę. Prace badawcze w tej dziedzinie zmierzają teraz do osiągnięcia szybkości 500.000 wyrazów na minutę!

Nowości z kraju i ze świata

KATASTROFY

PRZEWIDZIEĆ NIE MOŻNA

Wyposażenie samolotów w napęd atomowy jest związane z dużymi trudnościami — orzekli naukowcy USA, wskazując m. in. na wielkie niebezpieczeństwo, na które narażony będzie teren w wypadku katastrofy atomowego samolotu i jego spadku na ziemię. Trudno bowiem z góry przewidzieć, czy i gdzie katastrofa nastąpi i zabezpieczyć teren przed promieniowaniem radioaktywnym.

(K) X — 100

„X-100”, to domek przyszłości. Domek? Trudno nazwać domkiem budowlę, łączącą elementy mieszkania i ogrodu. A jednak... Pierwszy tego typu dom-ogród, wybudowano w USA, w Kalifornii. Ma on powierzchnię 2.310 stóp kwadratowych, jest wykonany ze szkła, mas plastycznych, stalowych prętów, na których opiera się konstrukcja, podtrzymywana przez jeden stalowy filar. Klimatyzacja, elektryczność, gaz, basen z ogrzewaną wodą, w pełni automatyzowana kuchnia — oto najważniejsze cechy „domu jutra”, który także zwą „domem-niebem”.

Nareszcie jeden „X”, który nie wiąże się ze środkami niszczenia... (AC)



PRODUKCJA PARY

W MAŁYM POMIESZCZENIU

Nowoczesne urządzenie do wytwarzania pary wodnej — w niewielkich pomieszczeniach i przy całkowitym bezpieczeństwie wybudowano w Szwajcarii. Woda pod ciśnieniem przepływa tu przez węzownice ułożoną wzdłuż ścianek komory. W górnej części komory znajduje się palenisko na paliwo ciekłe lub gaz. Powietrze do paleniska napędza wentylator, zasilany przez ten sam silnik, który uruchamia pompę tłoczącą paliwo do paleniska.

Wytworzona w ten sposób para wodna zasila urządzenia grzejne lub silniki. Około 90 proc. wody przepływającej przez węzownice zamienia się przy tym w parę, a tylko 10 proc. wraca z odwadniacza do obiegu. (K)

Jedyna szansa

(Dokończenie ze str. 1)

ta trochę faktów z historii kultury polskiej i Poznania, kto zna nazwiska nieprzeciętnych architektów zapraszanych ongiś przez władze naszych miast dla realizacji ważnych obiektów, wydaje się dziwnym, dlaczego nie ośmielamy się zainteresować środowiskiem nadwarciańskiego grodu wybitnych specjalistów z całej Polski, jeśli już nie możemy naśladować rajców, którzy sprowadzili sobie Batistę di Quadra.

Kończąc proponuję, byśmy nie wołali niefrasobliwie „sursum corda”.

Nie wmawiajmy sobie także, że Poznań jest miastem ładnym i że wszystko, co w nim robimy jest sensowne. Jest miastem, które można zrobić ładnym, w niektórych partiach nowoczesnym. Ulica Czerwonej Armii i okolice stwarzają taką okazję. Trzeba tylko ją wykorzystać.

Kazimierz ŁĄCZNY



Kalendarz Wolnej Myśli

Po raz pierwszy na wystawach naszych księgarń ukazał się nakładem „Książki i Wiedzy” — „Kalendarz Wolnej Myśli”. Jest to istotnie wydawnictwo, propagujące wolną myśl w najlepszym tego słowa znaczeniu: myśl wolną od ciemnoty i zabobonu, poznającą świat bez żadnych lęków i uprzedzeń, przekładającą oczywistą rację rozumu nad mistyczną i nie znajdującą logicznych uzasadnień emocją. Kalendarz pokazuje pojęcie racjonalnej myśli ze ślepa widząc w całej jego historycznej świetności: w aforyzmach zachęcających do dobrego naukowego wielkich filozofów i myślicieli Hegla, Feuerbacha, Marksa, Lenina i innych, w artykułach i nawet w poglądach racjonalistycznych rysunkach współczesnego nam francuskiego humorysty Jeana Effela.

Oddając ten kalendarz do rąk Czytelnika Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyslicieli walczy o przebudowę świadomości mas. Podstawowym warunkiem zwycięstwa w tej walce jest likwidacja społecznych korzeni wszelkiego zacofania, przebudowa warunków społecznych, sprzyjających ciemności. Stąd zamieszczony w kalendarzu obszerny artykuł pt. „W piętnastą rocznicę Polski Ludowej” — obrazujący główne przemiany, które zaszły u nas w tym okresie w mieście i na wsi, olbrzymi „skok” w odrabianiu wielowiekowego zacofania. Uzupełnieniem tego artykułu, niejako bliższym sprecyzowaniem stanowiska autorów Kalendarza jest rozprawa pt. „Stosunek państwa socjalistycznego do Kościoła i religii”, której śródtytuły mówią same za siebie: „Religia sprawą prywatną obywateli”, „Współpraca wierzących i niewierzących — niezbędny warunkiem rozwoju państwa ludowego”. Zasady współpracy obowiązują obie strony. Z poprzedniego artykułu logicznie wypływa następny: „O tolerancji”. Krzysztofa Teodora Toeplitza. Oczywiście trudno sobie wyobrazić obecnie tego rodzaju publikację bez wzmianki o Millenium. Jest więc artykuł „Tysiąclecie i Kościół”.

Dużo miejsca zajmuje w Kalendarzu szereg krótkich ale bardzo interesujących napisanych życiorysów najwybitniejszych wolnomyslicieli, racjonalistów, humanistów, filozofów-materialistów, postępowych pisarzy. Wystarczy wymienić kilka tylko nazwisk: Mikolaj Kopernik, Giordano Bruno, Wolter, Karol Darwin, Aleksander Świętochowski itd.

Po tym korowodzie żywotów postępowych uczonych — następuje szereg bardzo interesujących artykułów. Trudno je w tym miejscu wszystkie wymienić. Przytoczymy więc tylko niektóre tytuły, które zorientują czytelników w ich tematyce: „Racjonalizm”, „O etyce świeckiej”, „Niektóre zagadnienia etyki marksistowskiej”, „Rzut oka na religie świata”, „Czytamy pismo święte”, „O świętej inkwizycji w Polsce” itd.

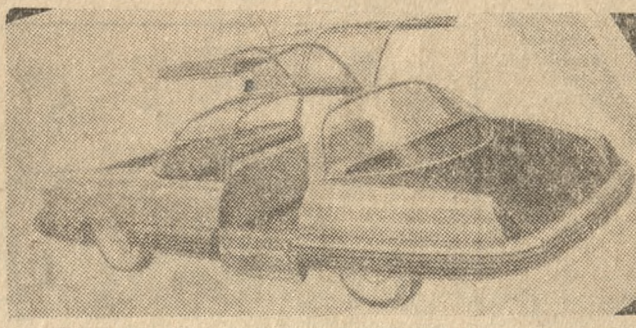
Wreszcie prawdziwa rewelacja będzie dla czytelnika indeks książek zakazanych, z którego się dowie, że katolikom nie wolno czytać... Słownika Larousse'a, powieści Balzaka, Flauberta, Anatola France'a, obu Dumasów, Wiktora Hugo, Zola, Stendhala, Maeterlincka, Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Reja i in. Wielu zainteresuje reportaż „szalejącego reportera” Egona Erwina Kisch'a z Lourdes pt. „Kąpie się w cudownej wodzie”.

*) „Kalendarz Wolnej Myśli” — pod redakcją Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyslicieli, „Książka i Wiedza”, str. 280, cena zł 12.

Samochód roku 1960

Kształt, wygoda, szybkość, bezpieczeństwo, ekonomiczność użytkowania, wyposażenie — oto cechy samochodu, które są obecnie brane pod uwagę przy ustalaniu wartości prototypu przed wprowadzeniem go do produkcji. A oto czym się wyróżnia projekt samochodu opracowany przez inżynierów francuskich. Kształt — aerodynamiczny, prosty. Wnętrze — wybitnie piankowym polistyrenem i mieszaniną środka przeciwpalnego, zabezpieczające go przed skutkami uderzenia i pożarami, wyposażone oczywiście w telewizor oraz — uwa-

precyzyjnie pracująca kierownica (wspomagana), dobre zawieszenie, korzystny stosunek ciężaru silnika do mocy, dobra widzialność, szczelność, ochraniająca przed hałasem, łatwość dostępu do mechanizmów, przyrząd do regulowania zawartości tlenu w powietrzu oraz temperatury wnętrza wozu — oto podstawowe cechy tego cuda motoryzacji roku 1960. Szybkość jazdy — 160 km na godz.; moc — 80 KM, opony bezdętkowe, zużycie paliwa — 7 litrów na 100 km, droga hamowania — 33 metry przy prędkości 100 km, wreszcie ciężar własny 800 kg przy zdolności zabierania 6 pasażerów i 200 kg bagażu. Gdyby to takie plany ogłosiła nasza pocztowa Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu... (AK)





Czy podoba się Wam to wytworne uczesanie zademonstrowane na Międzynarodowym Konkursie Fryzjerów w Brukseli — „Puf-puf”, „Wagabunda” i „Wietrzniak”? (Fot. — CAF)

Polka pierwsza na Bałtyku!

Przysłowie powiada, że gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. I otóż potwierdzenie tego przysłowia znajdujemy w starych dokumentach dotyczących wypraw Polaków na morza: pierwszym Polakiem, który przebył Bałtyk — według pisanych źródeł — była kobieta, córka Mieszka I.

Polska Mieszka I musiała za pewne posiadać flotę morską zarówno handlową jak i wojenną. Musiała to być zresztą poważna konkurencja dla Szwecji, skoro jej władca, Eryk Zwycięski, wziął sobie za żonę córkę Mieszka I. Wiadomo, że flota Wolina utrzymywała szerokie kontakty handlowe z krajami bałtyckimi. Zapewne jednym z okrętów floty wolińskiej, która podlegała już wówczas Mieszkowi I, odbyła Świętosława swą podróż. Działo się to prawdopodobnie około roku 988. Z historii wiadomo, że królewska krew piastowska płynęła w żyłach władców Szwecji, Danii i Anglii — potomstwo Świętosławy panowało na tych trzech tronach przez wiele wieków. Sama Świętosława została uwieczniona w sagach skandynawskich jako Sygryda.

Jak wyglądała wówczas panowna Mieszka I nad Bałtykiem? Z dokumentów historycznych wynika, że Mieszko I przyłączył Ziemię Lubuską do Polski w latach 963-966; Pomorze Gdańskie było już wcześniej opanowane — wreszcie w roku 972 Mieszko I rozgromił

margrabiów niemieckich pod Cydzyną i otworzył sobie dostęp do ujścia Odry, najważniejszego punktu strategicznego — wyspy Wolin. W ten sposób Polska uzyskała szereg dojazdów do morza — takie, jakim obecnie dysponuje.

Należy przypuszczać, że nim Świętosława przebyła Bałtyk, aby się połączyć z Erykiem Zwycięskim, musieli pływać do Szwecji postowie królewskiego ojca. Jednak ich nazwiska zostały przez historyków pominięte. Należy sądzić, że Świętosława była jakby rekwizytem sojuszu, jakim chciał związać Mieszko I naszych morskich sąsiadów. Wiadomo też, że w latach późniejszych polityka tego króla została zaprzeczona w okresie dzielnicowego rozbitcia Polski.

A jakie były dalsze losy królewskiej córki?

Po śmierci Eryka Zwycięskiego wyszła Świętosława za mąż za Swena Widłobrodego, króla Danii. Jednak między małżonkami musiało dojść do poważnych scysji, bowiem Swen Widłobrode wygnał żonę z Danii. Gdy zmarł — synowie Świętosławy i Swena zaprosili na powrót matkę do siebie; czas wygnania spędziła Świętosława w Polsce. Jeden z synów Świętosławy — Kanut Wielki — został królem Anglii. Niektórzy z uczonych przypuszczają, że Świętosława udała się na dwór tego syna, tak jak jedna z jej córek, która tam zmarła. Niestety — nie ma żadnej pisanej wiadomości o tym, że Świętosława przebyła także Morze Północne. Gdyby tak było — u znana byłaby za największą polską podróżniczką morską wieku X.

Jerzy HALICKI

FILM

Nową garść kapitalnych, za czerpiętych wprost z życia, pomysłów daje widzowi nowy panoramiczny film Franciolini pt.

„Rzymskie opowieści”, oparty na zbiorze nowel wybitnego pisarza włoskiego — Alberto Moravia. Są w nim lekomyślni, używający życia — lecz nie do gruntu zepsuci młodzieńcy, są piękne dziewczęta i wiele prze zabawnych sytuacji, które na pewno rozbawią widzów. Uroczym dodatkiem do tej przyjemnej komedii będą dla panów: Silvana Pampanini, Giovanna Ralli i Maria Pia Casilio, dla pań: Vittorio de Sica, dla wszystkich zaś: Toto.



John Ford — którego dzieł filmowych nie oglądaliśmy u siebie od czasów „Zielonej Doliny” — prezentuje nam tym razem Irlandię — bardzo przez niego kochany, rodzinny kraj. Barwne zdjęcia odtwarzają świetnie scenę i atmosferę irlandzkiego życia. Film nosi tytuł „Spokojny człowiek”, za reżyserię nagrodzony został „Oscarem” (!) widzowi zaś przypomina znanych aktorów: Barry Fitzgeralda i Maureen O'Hare.

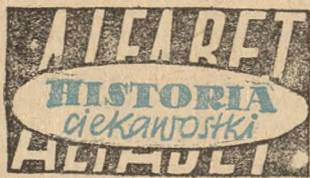
Dwa modele płaszczy damskich



dla zwolenniczek mody stonowanej...



...i bardziej ekstrawaganckiej



MIŁOSŁAW w powiecie wrzesińskim. W czasach prehistorycznych był wyspą wśród bagien i wód. W końcu XIII wieku pod tą osadą mieli harować Tatarzy idący od Łęczycy. W r. 1314 pisała się Myleslave. W r. 1382 zjechało się tu rycerstwo poznańskie i kaliskie, by porozumieć się z Małopolanami celem wyboru następcy po zmarłym królu Kazimierzu. Obradom przewodził Wincenty Łódzka z Kępy (pod Zaniemysłem) i Wawrzyn Zaremba z Zerkowa — kasztelan poznański i ostrowski (czyli zerkowski). Osada ta już musiała być duża, że tylu przyjać mogła gości.

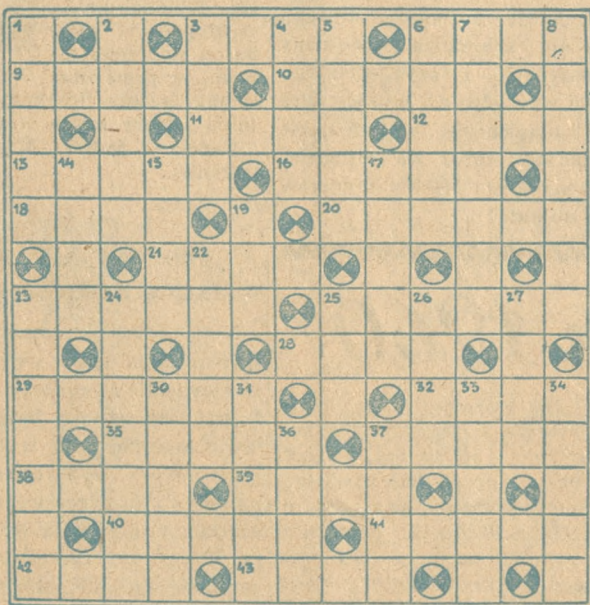
Miasto już w XV w. miało swoje lata tłuste i chude, smutne i wesołe, tak jak wiele innych miast wielkopolskich. Lata chude zaczęły się już za panowania Sa-

sona. Już wtenczas mury obronne zaczęły się walić. Domu także. O przedmieściu zwanym „przedpiekło” wtenczas mówiono: „Kto na przedpiekło mieszka, ten diabła w kumy prosić musi”.

Kronika Miłosławia zawiera wiele ciekawych szczegółów. W r. 1600 Piotr Bocian — mieszczanin miłosławski swojej miłościwej żonie zapisał po śmierci... garniec gorzalki. Toż jej radość sprawił! Miłosław był sławny nie tylko z burd i jawnochrzeszników, ale i z przemysłowości. Na przykład cech pospolity nie miał kłopotów ze zwołaniem zebrania. Starszy cechu bowiem wysyłał w obieg tzw. cechę (mosiężny orzeł cesarski z o-kólnikiem); cecha ta nie mogła się nigdzie zatrzymać, gdyż wróżyła tym samym śmierć. J. P.

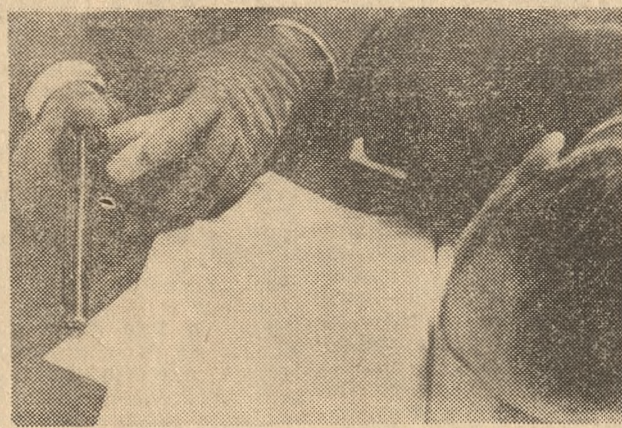
KRZYŻÓWKA

„LAR” — Poznań



POZIOMO: 3 — Stąpnięcie, 6 — 2 — Cwał, 3 — Szafa pancerna, Dopyw Bugu, 9 — Wóz nomadów, 4 — Przełożony klasztoru, 5 — Zabarwienie, 6 — Zasłona na głowę, 7 — Tkaniny bawełniane, 8 — Stan w USA, 14 — Starorzyska szata, 15 — Kontuar, 17 — Gatunek aksamitu, 19 — Australijski ptak bie-gający, 22 — Rzeką w Wenecji, 23 — Roślina cieplarniana, 24 — Rze-ka we wsch. Grecji, 25 — Za-krzywiony gwóźdź, 28 — Zawody motorowe, 27 — Bezleśny, nieprawni obszar, 30 — Imię żeńskie, 31 — Przeszeregowanie na wyższy stopień, 33 — Koc, 34 — Siolica państwa europejskiego, 36 — Mocny napój malajski, 37 — Liczydła. Lasso, 42 — Niechęć, uraza, 43 — Rozwiązania prosimy nadsyłać Sus.

PICOWO: 1 — Ojciec Szwejka, ciekawe książki.



„Winda na szafot” jedzie morderca — człowiek, uwięziony w windzie, jak w pułapce. Wpłatali przypadkowo w popelnioną zbrodnię młodzi kochankowie oraz naręczona mordercy, bezskutecznie go poszukująca — oto osoby działające na dwu dalszych planach akcji filmu. Grają: Maurice Ronet i Jeanne Moreau (pamiętaj ją z roli „Królowej Margot”). Film jest debiutem reżyserskim 25-letniego Francuza Louisa Malle.

PRZYGODA

Uchyliłem delikatnie drzwi. W pokoju panował lekki półmrok rozjaśniony nieco dyskretnym światłem sączącym się przez kolorowy abażur nocnej lampki. Wsunąłem się bezszelestnie do wnętrza. Nie, nie spała jeszcze. Wpatrywała się we mnie swymi niebieskimi oczyma. Usiadłem delikatnie na krawędzi łóżka. Szybkim, nerwowym ruchem uchwyciła moją rękę i spojrzała wyczekująco. Objąłem ją mocno w pól i przytuliłem do piersi. Westchnęła cichutko. Przez chwilę jakby się zawahała. Nie trwało to jednak długo, ponieważ pokusa była zbyt wielka. Rozejrzała się dokoła, po czym energicznie i zdecydowanie położyła głowę na moim ramieniu. Musnąłem ustami jej miękkie i puszyste włosy. Przytuliła się jeszcze bardziej. Czula się bezpieczna i szczęśliwa. Muszę przyznać, że i ja uległem z lekką nastrojowi. Objąłem ją silniej, uniosłem w górę i zakręciłem w koło. Cały świat zawirował nam przed oczami. Roześmiała się głośno i perliście. Poczulem, iż gdzieś, w okolicy serca robi mi się ciepło. Położyłem Basię miękko na tapczanie. Tak, teraz nie było już żadnych wątpliwości. Pobiegłem szybko po suche pieluszki.

LECH KONOPINSKI

Lotniska niepotrzebne?

W Anglii zbudowano doświadczalny samolot, który startuje i ląduje pionowo. Przy pierwszej próbie, samolot ten wzniósł się, startując z bardzo małej platformy na dużą wysokość, zawisł w powietrzu, następnie przemierzył pewną przestrzeń w locie poziomym i wreszcie wylądował pionowo znowu na małej platformie. Samolot ten ma 4 silniki odrzutowe z dyszami skierowanymi w dół oraz 1 silnik do poruszania się w przód. Dalsze próby nad tym samolotem obejmują przejścia z lotu pionowego do poziomego. (K.)

Radioaktywność zamknięta w szkłe

Brityjscy atomowcy głowią się obecnie nad sposobami unieszkodliwiania odpadów, powstających podczas badań nad promieniotwórczością, bądź w czasie jej wykorzystywania. Dotychczas zamykano je w skrzyniach żelbetonowych i zatapiano na dnie morza. Ostatnio jednak uczeni japońscy zwrócili uwagę na to, że przez te „cementarze” przepływają prądy morskie i że łatwo w ten sposób zakazić obszary, w których łowi się ryby. Obecnie próbuje się z kolei zamykania odpadów w szkiełkach ze szkła. Z kolei — uczeni kanadyjscy zaczęli w tym samym celu stosować tzw. syenit nefelinowy, który pochłania kwaśne roztwory promieniotwórcze, tworząc żelatynową masę. Po usunięciu kwasu z odpadów — gotuje się je wraz z tym materiałem, a z otrzymanego w ten sposób bloku szklistego promieniowanie się już nie wydobywa. (K.)

